

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłosnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

20

Ci g dalszy.

Kola namyślał się, musi iść, przecież umówił się z Wandą, że przyłączą się do manifestantów z Woli, co ona pomyśli, co partyjni powiedzą, gdy jego nie będzie. I po chwili mówił z miną swobodną, z uśmiechem przysmiałym:

— Otóż widzi mama, jak niepotrzebnie mama czuwała... mówiłem przecież mamie onegdaj, że wybieram się z Balkowskim na polowanie i właśnie jutro pociągiem o godzinie siódmej rano wyjeżdżamy. Zatem nietylko nie będę ani widział ani słyszał, co się będzie działo, ale nawet nie będę w Warszawie.

Ach, jak to dobrze — powiedziała rozpromieniona — więc jedziesz, ale czy na pewno?

— Najpewniej mamę i już kazałem się zbudzić, aby nie zaspać.

— Ależ ty się znieczysz, będziesz niewyspany, dlaczego nie przyszedłeś wcześniej?

— Bo nie wiedziałem. Balkowski zmówił się ze mną dopiero na kolacyę.

To rozbieraj się i idź spać... przyniosę ci budzik, nastaw go, bo i ja się boję, że spóźnisz się na pociąg.

VIII.

Gdy Kola z małą walizką, jechał rano na kolej, miasto jeszcze spało, a po chodnikach snuli się prawie tylko przekupnie. Na stacyi odprawił powóz i lokaja, a umieściwszy walizkę u portyera, sam wsiadł do dorożki i kazał się wieźć na ulicę Wolską.

Na Chłodnej spostrzegł w przecznicach maszerujące gromadki wojska, a w podwórzu cyrkułu stali żołnierze. Z goryczą pomyślał, że ci jego rodacy, a współbracia proletariatu polskiego, będą może wkrótce użyci na stłumienie ruchu, który ma im przynieść wolność, poprawę bytu, przemienić niewolników na obywateli wolnych i niezależnych.

Dorożka na bruku dudniła i nagle koło uderzyło o wystający kamień z lekkim zgrzytem i hukem, co nasunęło mu myśl o strzałach. W swej wyobraźni ujrzał tłum bezbronnych towarzyszy, czarne otwory karabinów i padły strzały, są zabici, ranni. To możliwe wobec tego, co mu opowiadała matka, mniejsza z tem, że on zginie, lecz jeśli Wandę zabiją... Wzdrygnął się i postanowił być blisko niej, jeśli ona ma zginąć i on padnie, bo i co mu po życiu bez niej?

Teraz zrozumiał, że ją kocha i jak mu jest drogą, a równocześnie obraz śmierci Wandy znikł i widział tylko dziewczęcą jej postać, oczy pełne zapału i wiary, słyszał jej dzwiczny głos.

Dostrzegł grupę kilku robotników, którzy naradzali się ze sobą i to zwróciło myśl jego na dzisiejszą manifestację. Niezbyt daleko stał od nich policyant i dwaj żołnierze, którzy nietylko nie wzywali ich do rozejścia się, ale udawali, a może na prawdę nie widzieli stojących.

Im dalej od środka miasta, tem bardziej ulice traciły na wyglądzie i porządku. Obok domów niskich, pokrzywionych, były i schludne, przedzielone małym ogródkiem od ulicy, albo też wznosiły się wysokie, szare kamienice, przypominające to koszary, to więzienia, a przeznaczone na mieszkania dla robotników.

Już na Chłodnej ruch pieszy był znaczniejszy, a im dalej, tem więcej się wzmagał, kobiety bowiem robotników szły lub wracały ze zakupami. Na ulicy stały wozy z pieczywem, mlekiem, jarzynami, a przy nich gromadki kobiet kupujących. Dzieci obojga płci wyległy mnóstwo na ulicę, a wesołe ich okrzyki mieszały się z głosami przekupniów i handlarzy.

Na rogu placu Wolskiego Kola wysiadł, a gdy płacił dorożkarzowi, posłyszał wesoły głos Wandy:

— Czy wam nie wstyd jeździć dorożką jak zwykły burżuj?

Jesteście? — zawołał ucieszony, witając się z Logiką i Wandą — czy dawno?

O, bardzo dawno — śmiała się Wanda.

Przed chwilą wysiadłyśmy z tramwaju — powiedziała Logika, patrząc wzdłuż ulicy — na szczęście patroli są nieliczne... manifestacja powinna się udać.

Jestem tego pewna — odezwała się Wanda

— my we troje idziemy, tam kilku ludzi stoi, i mimo surowych zakazów nikt się nie boi.

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa, usłyszeli ostro rozkaz w głębi ulicy:

— Rozejście! — i policyant roztrzącał kilku ludzi, czytających przyklejoną odezwę.

Przyspieszyli kroku i widzieli, jak policyant gwałtownie zdierał papier z muru.

— To pewno nasza odezwa — szepnęła Logika — i dlatego ta surowość.

Kilku robotników dopędziło idących, jedni znali Logikę, inni Kola, i wszczęła się półgłówna rozmowa o przybliżonej ilości manifestantów i która z fabryk zaprzestanie roboty z powodu ogłoszonego strajku.

Wanda na razie szła ze wszystkimi, lecz z powodu wąskości trotuaru Logika poszła z trzema robotnikami naprzód, dalej szedł Kola z robotnikiem, a Wanda przystanęła i do niej przemówił jeden z tej grupy:

— Że też pepeesowcy nie manifestują razem z nami? Wiecie towarzyszeko przyczynę?

Wanda się zmieszała, spojrzała na robotnika, młodego, smagłego, patrzącego jasnymi oczami i rzekła z pewnem wahaniem:

— Mają zapewne ważne przyczyny, zresztą każdemu z nich wolno wziąć udział w manifestacji.

— Wolno, niewolno — zaśmiał się robotnik — to ich wybieg towarzyszeko. Manifestacja to nie zabawa. Cóż to za żołnierze, którym wolno albo niewolno iść do bitwy?

— Będą manifestowali jutro — broniła pepeesowców Wanda.

Ser odkładany dobry, ale nie rewolucya, jak powiedział nam wczoraj jeden z naszych.

— Z nami idzie bund — starała się odwrócić rozmowę.

Bund zachęci swoich tylko, a nasi wahali się wczoraj, bo jak iść, to już ława. Z wielkim narodem i wojsko nie łatwo sobie poradzi.

Stopniowo zeszła rozmowa na stosunki robotnicze, tymczasem Logika wstąpiła do jakiegoś domu, czego nie zauważyła Wanda. Jednak Kola od czasu do czasu oglądał się, a gdy miał wstąpić do domu, gdzie zgromadzić się miała część robotników, zwolnił kroku i rzekł do Wandy:

— Chodźcie ze mną, czekają mnie.

— Gdzież Logika? — zaniepokoiła się Wanda, rozglądając się w około.

— Poszła do swoich, idziemy towarzyszeko — zachęcał wahaającą się.

Przez sień dostali się na dość obszerne podwórze, w głębi którego ujrzała Wanda kilkudziesięciu robotników, otaczających mówcę, stojącego na niewielkim wywyższeniu. Podeszli bliżej i posłyszeli:

— ...Bo i kto nas nie gniece, nie gnębi, nie dokucza? Wszyscy! Urzędnicy, fabrykanci, przemysłowcy, a przede wszystkim rząd despotyczny! Oni żyją naszym potem krwawym, bogacą się, używają, a nam zostawiają pracę i upokorzenie. I gdzież my znajdziemy pomoc? Nie oni nam pomogą, bo duszą nas do wąpółki ze rządem, tylko my sami musimy sobie poradzić i pomódz. Jak my razem, wszyscy którzy dla nich pracują, weźmiemy się w kupę, jak zaczniemy walić młotem w ten ich spróchniały gmach zbytku, padnie wszystko, rozsypie się w gruzy...

I dalej mówił o konieczności działania wspólnego, a gdy Moskwa się ruszyła i walczy o wolność, nie wolno siedzieć z rękami założonemi, lecz walczyć trzeba do ostatka.

Mówca, brunet trzydziestoletni, był, jak widać z nbrania, z rąk spracowanych — robotnikiem. Nie przebiegał w słowach dosadnych, nie budował okręgów krasomówczych, ale rzecz nazywał po imieniu, a że mówił szczerze, słuchano go spokojnie i uważnie. Gdy skończył, podniósł się gwar głosów. Roztrząsali bowiem poglądy mówcy.

Wanda przyglądała się z wielką ciekawością robotnikom. Przeważali młodzi pomiędzy dwudziestym a trzydziestym rokiem, inni byli starsi, a niektórzy szpakowaci. Z postaci ich uderzała oczy najpierw siła, ruchy ich były pewne i śmiałe. Na ich poważnych twarzach rzadko zjawiała się wesołość przy słuchaniu mówcy, z tak wielkiem skupieniem i szacunkiem chwyтали słowa, lecz po skończeniu, oczy nabierały blasku niezwykłego, sypały się dowcipy i koncepty, zwrócone przeciw burżujom i rządowi.

Robotnicy czekali towarzysza, który miał dać znak do rozpoczęcia pochodu, a gdy Kola odpowiadając swym sąsiadom, podniósł głos, któryś zawołał:

— Mówcie głośniejsz towarzyszu! — i zrobiono szpaler do podwyższenia.

Kola wszedł na mównicę i począł wyjaśniać konieczność i pożytek manifestacji, a że wśród słuchaczy była Wanda, mówił pięknie, z wielkim zapałem i kończył:

— Towarzysze rozwińmy nasz sztandar, on jest czerwony od krwi naszej, on jest oznaką, że dość już tysiącletniej niewoli i wyzysku. I nie idziemy z nim, aby szukać zemsty, aby nową krew przelewać, aby niszczyć dorobek ludzkości! My chcemy tylko praw równych dla wszystkich, praw oddychania czystym powietrzem, cieszenia się promieniami słońca, pięknością natury, rozkoszowania się po pracy sztuką i muzyką. Chcemy być ludźmi, a nie zwierzętami, ciągnącymi rydwan rozkoszy, na którym panują despotyzm i kapitaliści, a ci nie szczędzą ni razów, ni upokorzeń, aż do łez, aż do krwi. Lecz oto zaświtała jutrzienka wolności, robotnik przyszedł do poznania, że na nim spoczywa jako na fundamentach cały gmach społeczny, otrząśnię się z więzów, a drżać w swych posiadłościach kapitalistów, jeszcze kilka wysiłków, a będziemy wolni. W imię tej świetlanej przyszłości, na znak związku proletariatusz całego świata, rozwińmy sztandar i dalej w pochód! A chociaż nie jeden z nas padnie, a krew zbryzga kamienie ulicy, my zwyciężymy, bo za nami prawda i sprawiedliwość! Szczęśliwy ten, kto ginie w imię idei, bo z krwi jego powstaną mściciele, i zatryumfuje wolność i sprawiedliwość. W pochód towarzysze!

Zawrzało w tłumie, oczy gorzały zapałem, policzki się rumieniły.

Ta muzyka słów i frazesów zrobiła na Wandzie, na równi jak na robotnikach wielkie wrażenie. Pierwszy raz słyszała mówcę, pierwszy raz poczuła sngestję słowa, i ona była również gotową iść na kule, na śmierć, poświęcić swe życie dla promiennych ideałów. A w dodatku ten Kola, nietylko mówił pięknie, ale miał w oczach, w twarzy, w ruchach tyle zapału, wiary w zwycięstwo przyszłości.

Jeden jednak człowiek nie dał się porwać wymowie Koli. Stał cicho przytulony za parkanem, otaczającym podwórze, a gdy robotnicy szykowali się do pochodu, przygotowywali sztandar, szybko pobiegł w kierunku cyrkułu. Wpadł do biura zdyszany, a że podwładni wiedzieli, iż ten nikły szatyn jest wśród szpiegów ulubieńcem komisarza, dopuszczono go bez trudu przed oblicze despoty, będącego panem życia i śmierci przestępców politycznych swego cyrkułu.

Siedział rozparty za biurkiem, w galowym mundurze, brunet około lat czterdziestu. Rysy twarzy były pospolite, szpeciły ją zbyt rozrośnięte szczęki, które nadawały mu wyraz zjadłości zwierzęcej. a w niskim czole pooranem bruzdami, w kłujących oczach, malowała się drapieżność i chytryść.

— Co nowego, Hadziar?

Zapytany skłonił się tak nisko, że mu długie, proste włosy spadły na wytarte czoło i przebiegłe wąskie oczy odpowiedział zeicha:

— Już gotują się w pochód.

Ot dobrze — i twarz rozjaśnił uśmiechem radości — chytra swolocz, a nie spostrzegli przygotowania na ich przyjęcie.

Już się wahali — mówił Hadziar tonem przychlebliwym — ale stało się, jak wasza wielmożność przewidział... o, wasza wielmożność zna tych psów dobrze.

Na razie komisarz nie wiedział, co przepowiedział, ale słowa te pochlebily mu, uśmiechnął się łaskawie i spytał:

Któż ich ośmielił?

— Jak wasza wielmożność mówił, przyszedł inteligent, i zawrócił im głowę, zagadał o krwi, o sprawiedliwości, a te sukinsyny, jak psy zaczęli ujaść.

— Tak zawsze bywa u nich — rzekł z miną głębokiego znawcy, nacisnął guzik i zawołał do pomocnika, stojącego w postawie wypreżonej w progu — Wasyl Aleksiejewicz wszystko gotowe?

— Tak jest wasza wielmożność.

Wojsko zakryte? Kozacy gotowi?

— Według rozkazu.

— Puścić pochód spokojnie do rogu Chłodnej i Żelaznej... bramy kamienic na Chłodnej, pomiędzy Wronią a Żelazną zamknąć... sam rozkaz strzelać... po strzałach zamknąć Chłodną od Wroniej, psa nie wypuścić, kłnąć bagnetami i dopiero pohulają kozacy... nauczę ja was sprzeciwiania się władzy — zaśmiał się suchym, bezdźwięcznym głosem.

Tak jest, wasza wielmożność — skłonił się pomocnik.

A piwnice dla uwięzionych gotowe?

— Według rozkazu.